

KORFANTASTIC

Jednodniówka Instytutu im. Wojciecha Korfantego

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Katowice ul. Teatralna 4, WYDAWCA: Regionalny Instytut Kultury im. Wojciecha Korfantego



WYNIKI KONKURSU LITERACKIEGO

I MIEJSCE

„Pomysłowy Wojtek”
Przemysław Karbowski

II MIEJSCE

„Ostatni strzał”
Krzysztof Słaboń

III MIEJSCE

„Stara Kopalnia”
Waldemar Wieszczyński

IV MIEJSCE

Węglowy pakt
Rafał Dembowski

WYRÓŻNIENIE W KATEGORII PLASTYCZNEJ
KRZYSZTOF SŁABOŃ – NA STRAŻY TOŻSAMOŚCI



Województwo
Śląskie



INSTYTUT
IM. WOJCIECHA
KORFANTEGO

Regionalny Instytut Kultury
im. Wojciecha Korfantego jest
instytucją kultury Samorządu
Województwa Śląskiego.



DNI
FANTASTYKI

MAGAZYN

BIAŁY KRUK



Lisiot Czyta

I MIEJSCE PRZEMYSŁAW KARBOWSKI

POMYSŁOWY WOJTEK

Koncert! Puklerz! Pancierz!
Koncert! Puklerz! Pancierz!

Łysy krasnolud wrzeszczał jak opętany, a pół tuzina niziolków i dwóch ludzi skakało od wozu do wozu i kompletowało uzbrojenie dla srogiej kolejki mężczyzn różnego wieku i rasy, których tożsamość skrętnie notował skryba i sam kwitował za nich odbiór broni, słusznie wnioskując, że statystycznie piśmienny jest może co piąty wolentarz.

– Ale koncert? – zaczął wybrzydzać siwy jak gołąb półelf. – Przecie my docelowo piechota... Koncertze to dla kawalerii...

– A wy jesteście powstańcem czy maruderem?! – Dосkoczył do ochotnika łysy kwatermistrz, który już mocno ochrypl od wrzasków. – Bo marudziecie jak maruder, nie przemierzając. Polanie przysłali, co mieli.

– Panie Rymer... – rzekł półelf pojednawczo. – Ja tylko...

– Nie mam czasu na dysputy – obruszył się krasnolud. – Następny! Koncert! Puklerz! Pancierz!

Rosła grupa uzbrojonych, najszybciej opróżniono wóz z napierśnikami i podjechał następny. Spocony jak mysz w połogu niziołek wdrapał się na furę, zaklął szpetnie i z wrażeń przytrzymał się kłonicy.

– Panie kwatermistrzu! – zawołał. – Co to, do cholery, jest?

Rymer wspiał się na wóz wypełniony płaskimi kawałami blachy z otworami na rzemienie.

– To jest brakoróbstwo – wycedził wściekły. – Tudzież Polanom brakło pieniędzy albo płatnerze zastrajkowali. Dobra, przerwa. Uzbrojonym wydać po pajdzie chleba i kufel piwa, nieuzbrojonym chleba i po pół kufla.

Powstańcy ustawili się w kolejkach do wozów z prowiantem. Na stroje nieco przygasły.

– Po krowie na łeb obiecali za walkę przeciw republice a tu o suchym chlebie przyjdzie wojować – sarkał siwy półelf.

– I na krowim placku się skończy – skrzywił się wąsaty rudzielec z blizną przez pół twarzy.

– Przysłali by Polanie jakiegoś czarodzieja – wtrącił się ktoś. – Ileż to roboty wymamrotać zaklęcie i powyginać ten szajs na pancerze?

– By to było takie proste, byle magik zbrojne oddziały by wyczarowywał. – Półelf żuł chleb. – Chyba, że Korfanty.

– Wojska nawet czarodziej Korfanty nie wyczaruje – machnął ręką rudzielec.

Nie wyglądało to dobrze. Wiedział to kwatermistrz Rymer, wiedział kapitan Fojkis, kłęczący naprędce oddziały do bitwy z rozłożonymi obozem po drugiej stronie Góry Przodków republikanami, co to jeszcze wczoraj byli cesarskimi. Tak wszelako wszystko się pogmatwało po wielkiej wojnie, że z przegranego Cesarstwa został sromotny kąsek zwany Republiką, a na mapy Mimośródziemia naniesiono świeżo upieczone Księstwo Polan, niegdyś mających własne państwo, ale tak dawno, że najstarsze krasnoludy tego nie pamiętały. Nie w smak obu organizmom były na nowo wkopane słupy graniczne, na tyle że chwycono za broń w spornej Silesii; do niedawna cesarskiej a wieki temu w państwie Polan.

– Co pan kapitan powie? – spytał Fojkisa Rymer na naradzie. – Zamiast rosnącego morale mamy wóz z żelastwem do wyrzucenia na śmietnik. Co mam z tego badziewia zrobić? Parasole? Podkładki pod talerze?

Kapitan wzruszył ramionami.

– Sami rzekliście – mruknął. – Przysłali, co mieli. Reszcie wolentarzy wydać po koncerzu i puklerzu i tyle. Ja nie Korfanty, nic wam nie wyczaruję, a zbrojni potrzebni. Republikanów nie tak wielu, mamy małą przewagę, ale pół setki zdrowego luda będę potrzebował na odbicie dwóch wiosek. Odepchniemy niecnoty od Góry Przodków i droga do reszty Silesii otwarta. A ten tu czego?

Wartownik trzymał za kark młokosa, który najwyraźniej domagał się audiencji u Rymera i Fojkisa.

– Chce z wami gadać. – Żołnierz puścił wyrostka. – Nie ma broni.

– Dawaj go tu! – Kwatermistrz wskazał nieproszonemu gościowi pieńek. – Siadaj i opowiadaj. Jak cię zwą?

– Wojtek! – Młodzieniec pokraśniał z dumy. – Jak czarodziej Korfanty! Wiem co zrobić z tymi wybrakowanymi pancierzami!

– Słuchamy jaśnie pana Wojtko – rzekł z przekąsem Fojkis.

– Mamy osiem wozów. Obić je blachą, wtargać na górę i spuścić na republikanów. Choćby ze dwa tuziny pozabijały i połamały, gra warta świeczki, nieprawdaż?

– Genialne – Rymer udał powagę. – Może jeszcze te wozy załadować ludźmi? Żeby też się pozabijali i połamali?

– Nie musowo. – Wojtek podrapał się po głowie. – W Bohemii tak robił Żizka, ale on miał inne wozy...

– W jakiej znowu Bohemii? – zdenerwował się kapitan Fojkis. – Jaki Żizka?! Kwatermistrzu, rozumiecie coś z tego?

– Kojarzę tylko Slavoja Żizka. – Krasnolud skrzywił się nieprzyjemnie. – Z jakiejś książki.

– Ta Bohemia i Żizka też z książki – powiedział nieco zawstydzony Wojtek. – Kiedyś taką czytałem...

– Z książki – powtórzył Rymer. – Znaczą bajki, bajania, bajędy i opowieści dziwnej treści. Ale w każdej bajce coś tam siedzi. Najgłupsze pomysły jak je wdrożyć w życie nagle na swej głupocie tracą. Spróbujemy.



Minął dzionek i osiem obitych nieudanymi napierśnikami wóz stało u podnóża Góry Przodków. Pierwsza próba wciągnięcia ich na szczyt zakończyła się jednak fiaskiem. Konie dały radę dociągnąć furi raptem do ćwierci wzniesienia.

– Górka niby niewiele większa od kopca kreta. – Rymer tarł łysinę. – Ale te nasze chabety do niczego. Trochę nas za mało. Nie wepchniemy tylu wozów ot tak.

– Szkoda sił – zgodził się kapitan. – Te przydadzą się do walki. Niech spróbują ostatni raz.

Pierwszy wóz ruszył. Rudzielec z blizną poganiał konie i darł się na półelfa szarpiącego za uzdy.

– Pociąg! – krzyczał rudy, okładając szkapę batem. – Jeszcze trochę pociąg!

– Pociągnij... – poprawił pod nosem kapitan Fojkis. – Nic z tego.

Próba się nie powiodła, ale wśród powstańców zapanowało niezwykłe żywienie. Ktoś nadjeżdżał w asyście zbrojnych.

– Nie wierzę... – sapnął Rymer. – To jest Korfanty. Nie w sztabie a u nas. Jasny gwint!

Fojkis już salutował czarodziejowi nadjeżdżającemu na karym rumaku. W przeciwieństwie do większości magików Korfanty nosił wąsa bez brody, kapelusz z małym podwiniętym rondem i prostą szatę z dwoma rzędami guzików.

Czarodziej skinął głową powstańcom. Nie tracił czasu na wyjaśnienia skąd on tutaj, po co i dlaczego?

– Wyprzęgnąć konie! – zawołał – Łączyć wozy! Wiązać kłonicę do orczyków lejcami!

Synowie Silesii uwijali się jak w ukropie. Gdy skończyli, Korfanty wyrecytował zaklęcie.

– O matko moja! – jęknął Rymer.

Nie on jeden. Opancerzone wozy samoistnie ruszyły na szczyt góry. Powstańcy przecierali ze zdumienia oczy.

– A wy na co czekacie? – Czarodziej zwrócił się do dowódców. – Biegiem na szczyt! Trzeba ten kondukt nakierować na obóz wroga.

Kapitan Fojkis rzucił się w wir wydawania rozkazów. Zbieranina ochotników nagle zamieniona w wojsko ruszyła zboczem Góry Przodków, goniąc za wozami.

Republikanie tego się nie spodziewali. Runęła na nich przemyślnie zepchnięta kolumna na kołach; ze szczytu powstańcy widzieli śmiertelne uderzenie w nieprzyjaciela. W jedno zwały się jęki poturbowanych zbrojnych, przeraźliwy kwik ranionych koni, gruchot łamanych na drzazgi taborów i trzask snopów iskier z rozjeżdżanych ognisk.

– Tego chciałem! – Kapitan Fojkis dobył miecza. – Do ataku!

Ze szczytu Góry Przodków pędzili wolentarze dokończyć dzieła zniszczenia. Kwatermistrz Rymer zakładał hełm. Odebrał Wojtkowi koncerz i wręczył chłopakowi swój topór.

– Lepsza broń dla piechoty – mrugnął szelmowsko okiem. – Co ty w ogóle na to, smyku? Trzeba by ten wynalazek jakoś nazwać. Jak do książki dla przyszłych pokoleń, co by z niej się uczyły o bitwie pod Górą Przodków. Co powiesz, pomysłów Wojtku?

– Powiem... – Chłopak pomyślał przez chwilę. – Powiem: pociąg pancerny „Korfanty”!



II MIEJSCE KRZYSZTOF SŁABOŃ

OSTATNI STRZAŁ

Poddajcie się! – krzyknął, po raz kolejny, wysoki mężczyzna o pociągłej twarzy, ubrany w mundur majora. Jego słowa odbijały się echem od ścian pobliskich domostw. Miały one wygląd pustostanów, z powybijanymi szybami i odpadającym, z elewacji, tynkiem. Wyglądało to, jakby swe okrzyki kierował w próżnię.

– To bez sensu – westchnął i machnął ręką. Tuż obok niego pojawił się młody, szczupły chłopak w, lekko zakurzonym, mundurze. Wyprężył się niczym struna i zasalutował.

– Przekażcie, by szykować się do ataku – padł rozkaz. Chłopak, ponownie zasalutował, kiwnął głową i tak szybko jak się pojawił, zniknął.

Major Ernst Horadam, dowódca Freikorps Oberland, obrócił się, by podążyć w kierunku, gdzie udał się młody żołnierz. Raz jeszcze spojrzął, w kierunku domostw i zamruczał pod nosem. – Głupcy.



Młody, na oko około 18-letni, chłopak, siedział wtulony w swój karabin i oparty o ścianę pokoju. W jego oczach widać było strach i przerażenie. Miał całkiem inne plany życiowe, nim los pokierował go ku byciu powstańcem.

– Odchodzi! – krzyknął mężczyzna znajdujący się obok okna.

W pomieszczeniu, oprócz nich, było jeszcze 10 innych mężczyzn, w różnym wieku. Każdy z nich trzymał swój karabin. Tuż obok, stał mech bojowy „Owczarek”. Było to dzieło samych powstańców. Poskładany z różnych części stalowy pies z, zamontowanymi na grzbiecie, dwoma karabinami. Dym, oraz iskry, wydobywające się spomiędzy łączy, wskazywało, że długo już nie pociągnie.

Jego karabiny, tak samo jak uzbrojenie reszty oddziału, mrugała złowieszczo na czerwono. Bateria protonowa była już w stanie rezerwy. – Wystarczy jeszcze na kilka strzałów – powiedział jeden z mężczyzn.

– Parszywe szwabry – zaklął inny z powstańców. – Nawet nie widać, żeby ich ubyło.

Chłopak podniósł się i zerknął przez okno. Zauważył sylwetkę majora, powoli oddalającą się w kierunku swojego oddziału. W majowym, popołudniowym, słońcu, połyskiwały karabiny i hełmy. Oddział stacjonujący na łąkach u stóp góry św. Anny, dwukrotnie przewyższał liczbę partyzantów. Lepszej klasy uzbrojenie, pełne baterie i skrzynie z zapasami, to najmniejszy z problemów. Niemcy wyposażeni byli w kilkanaście psów mechanicznych marki „der Hund” oraz cztery potężne, dwunożne, samobieżne, maszyny bojowe „Goliath”.

Niemiecki dowódca, ustawił się tuż koło maszyn, podniósł rękę do góry, a następnie zamasztył ruchem, wskazał w kierunku domów. Szczęk metalu, ruszających maszyn, połączony, z krzykiem żołnierzy i metalicznego szczeku psów, przeszył powietrze.

– Nie mamy szans – zaszlochał jeden z powstańców, znajdujący się w kącie. – Przejdą po nas jak przez powietrze.

W pokoju panowała grobowa atmosfera. Siedzący przy stole, starszy mężczyzna, wstał i uderzył pięścią w stół.

– Nie poddawać się! – krzyknął. – Wprawdzie nie mamy szans ich pokonać, ale nie możemy oddać im naszej ukochanej ziemi bez walki! To nasza ojczyzna. Tu dorastaliśmy i jeżeli mamy tu przelać naszą krew, to niech to

III MIEJSCE WALDEMAR WIESZYŃSKI

STARA KOPALNIA

będzie krew tych, którzy do samego końca się nie poddali!

Chłopak poczuł, że te słowa, zamieniają jego strach, w palące uczucie gniewu. Znikł ból i zmęczenie. Wstał i mocno zacisnął ręce na karabinie. To samo zrobili inni. Taka sama atmosfera musiała panować w innych domach, bo słychać było okrzyki. Wyszli przed budynek i zobaczyli, że wśród domostw, stały wszystkie oddziały powstańców. Nie widać było lęku, tylko gniew i chęć walki. Wśród okrzyków słychać było szczęk metalu partyzantkich „Owczarków”, które tak jak oni, były gotowe walczyć do samego końca.

– Do boju! – Padł rozkaz i wszyscy, z przeraźliwym okrzykiem, ruszyli w kierunku wroga.



Dookoła było jasno. Chłopak rozejrzał się. Nie było niczego oprócz ludzi, w białych szatach, stojących w bez ruchu, na tle oślepiającej bieli.

– Umarłem – westchnął chłopak.
– Przynajmniej zrobiłem co mogłem

– Jeszcze nie – usłyszał głos zza pleców i poczuł dotyk dłoni na ramieniu. Obrócił się i zobaczył, uśmiechniętego, wąsatego mężczyznę. – Masz jeszcze jedno, ważne, zadanie do zrobienia.



Ocknął się. Leżał na ziemi, cały w bólu. Jak przez mgłę widział wiwatujących i strzelających w powietrze, niemieckich żołnierzy. Z trudem podniósł głowę do góry. Tuż nad nim górowała niemiecka maszyna bojowa. Chłopak dojrzał wyrwę w podwoziu, przez którą dostrzegł reaktor, napędzający giganta. Kątem oka dostrzegł migający punkt, w pobliżu ręki. Był to wskaźnik amunicji karabinu.

Mimo bólu, chwycił powoli za broń i resztką sił, stanął na nogi. Skierował lufę karabinu w stronę wyrwy. Wiwatujący, dotąd, żołnierze spojrzeli w jego stronę. Ich, prawie czerwona, od radości, skóra na twarzy, w momencie pobladła, potęgując wyraz przerażenia.

– Ostatni strzał – uśmiechnął się w grymasie bólu i pociągnął za spust.

Wiosna roku 1921 była zimna jak stal bagnetu. Na drogach Górnego Śląska ciągnęły kolumny zmęczonych ludzi, a nad polami unosił się zapach prochu. Tego dnia oddział powstańczy, który jeszcze rano walczył pod wsią, musiał się wycofać. Niemiecki Freikorps „Oberland” napierał zbyt mocno. Trudno było przeciwstawić się bezwzględności bawarskich bandytów.

Śluzacy stracili już wielu ludzi, byli zmęczeni walką, nie mieli wystarczającej liczby giwer i granatów. Dowodził nimi podporucznik Zyga Kania – młody mężczyzna, chłopak prawie, ze zmęczoną twarzą osmaloną dymem. Gdy padł kolejny rozkaz odwrotu, wiedział, że jeśli zostaną na powierzchni, nie przetrwają nocy.

– Na gruba – powiedział krótko.

Na skraju lasu stał czarny szyb nieczynnej od lat kopalni. Rdza zjadła konstrukcję wieży wyciągowej, a wiatr poruszał zerwanymi linami jak martwymi żyłami. Miejscowi mówili, że zamknięto ją jeszcze przed wojną, bo „coś” zaczęło się dziać pod ziemią. Ale powstańcy nie mieli wyboru. Pojedynczo znikali w ciemności popędzając jeden drugiego.

Pod ziemią powietrze było wilgotne i ciężkie. Krople zimnej wody spadały z belek obudowy jak tykanie zegara.

– Jak znajdziemy starą sztolnię odwadniającą, wyjdziemy drugim szybem – powiedział Kania. – Niemcy nie będą wiedzieli, którędy poszliśmy.

Posuwali się powoli, oświetlając drogę lampami karbidowymi. Cienie na ścianach ruszały się dziwnie, jakby żyły własnym życiem. Po godzinie trafili na zawał. Ale tuż obok znajdował niski, wykuty w skale korytarz, ciągnący się zakosami, nie podparty żadnymi stemplami ani obudową.

– Kto to drażył? – zapytał Kuba, który do oddziału trafił prosto z kopalni.

Ściany nie wyglądały jak robota górników. Nie było śladów kilofów ani materiałów wybuchowych. Skała była gładka, jakby stopiona.

– Może Niemcy? – mruknął ktoś.

– Nie gadać! – uciszył ich Zyga. – Chcecie, żeby nas tu znaleźli?

Korytarz schodził coraz głębiej. Temperatura rosła, powietrze zaczęło dziwnie pachnieć metalem i czymś jeszcze – słodkim, duszącym zapachem krwi. Wtedy usłyszeli pierwszy dźwięk. Jakby coś powoli poruszyło się w ciemnościach.

– Szczury – powiedział ktoś.

Ale szczury nie oddychają tak ciężko i nie szurają nogami tak głośno...

Pierwszy zginął Staszek. Oddalił się tylko kilka kroków od reszty. Nagle jego lampa zgasła.

– Staszek?

Nie odpowiedział. Kiedy Kania podszedł bliżej, zobaczył leżące na ziemi ciało. Wyglądało tak, jakby coś rozszarpało je pazurami. Ale wokół nie było żadnych śladów. Tylko krew, która powoli zniknęła spływając w szczeliny skały.

– I co z nim? – zapytał Zefel wyciągając szyję.

– Już nic... – Kania machnęła ręką. – Idziemy dalej!

Ruszyli, ociągając się i mamrocząc niezrozumiale. Nie uszli daleko – już po chwili stary Jorg okropnie wrzasnął, po czym nastała kompletna cisza. Tylko przyspieszone oddechy powstańców dało się słyszeć w ciemności.

– Szybciej, chopy, szybciej! – Kania poganiał swoich ludzi.

Im głębiej schodzili, tym bardziej zmieniały się ich twarze. Przestrach ustępował miejsca wściekłości, oczy strzelały gromami. Zaczęli się kłócić wrzeszcząc po sobie. O drobiazgi, o to, kto ma nieść amunicję, kto zawiął w ostatniej potyczce...

– Ty nas tu sprowadziłeś! – krzyknął Achim do Kani.

– Zamknij się! – wycedził Zyga przez zęby.

– Zginęli przez ciebie! To ty powinieneś zginąć, nie oni!

Kania poczuł coś dziwnego. Jakby gniew nie był jego własny. Jakby ktoś szeptał mu do ucha: Zabij go! Sięgnął do kabury, ale w ostatniej chwili powstrzymał się. Potrząsnął głową i kazał ruszyć dalej.

W końcu dotarli do ogromnej komory. Wyglądała na znacznie starszą niż kopalnia. Wtedy coś się poruszyło. Najpierw zobaczyli oczy: dwa czerwone punkty w ciemności. Dopiero potem całą resztę. Istota była ogromna, jakby złożona z kamienia i cienia. Jej ciało przypominało skręcony korzeń drzewa, a z boków wyrastały długie, cienkie kończyny zakończone haczykowatymi pazurami. Oddychała powoli, jak góra, która budzi się ze snu.

Kania nagle zrozumiał.

– To... żywi się nami – wyszeptał.

Nie krwią, ale nienawiścią. Każda wojna, każda kłótnia, każdy gniew – wszystko spływało tu przez ziemię jak podziemna rzeka.

Powstańcy zaczęli strzelać. Kule odbijały się od kamiennej skóry potwora jak groch od muru. Ale istota nie zaatakowała od razu. Najpierw sprawiła, że ludzie sami na siebie naskoczyli. Dwóch powstańców walczyło na noże, inny dusił kolegę, krzycząc coś o zdradzie. Kania zrozumiał, że jeśli nie uciekną, wszyscy zginą – nawet bez pomocy bestii. Podniósł pistolet i strzelił w strop.

– Do szybu! – krzyknął, gdy umilkło echo wystrzału.

Biegli, a za ich plecami rozlegał się dźwięk przypominający stukot kamieni. Potwór ruszył za nimi. Korytarz zatrzęsł się jak ranione zwierzę. Zyga odwrócił się i serce na moment przestało mu bić. Przez chwilę wyraźnie zobaczył ścigającą ich istotę. Jej ciało przesunęło się jak cień płynący po wodzie. Kamienne członki ocierały się o ściany, krusząc ją jak suchy chleb.

– Biegiem! – wrzasnął.

Powstańcy ruszyli w panice. Ich lampy kołysały się w biegu, rzucając na ściany korytarza długie, drgające cienie. Kroki dudniły w skałach jak werble przed egzekucją. To „coś” wciąż za nimi pęzło. Najpierw powoli, a potem coraz szybciej. Z mroku sztolni rozległ się dźwięk przypominający zgrzyt setek pazurów po kamieniu.

– Lezie za nami! – wrzasnął ktoś z tyłu.

I wtedy jeden z powstańców upadł. Jego noga wpadła w szczelinę między dwiema bryłami węgla. Krzyknął rozpaczliwie, próbując się wyrwać.

– Pomóście!

Dwóch ludzi rzuciło się do niego, waląc kolbami karabinów w czarny kamień. Ale z ciemności wystrzeliła długa, śliska kończyzna – czarna jak węgiel, lepka jak smoła. Pazury zacisnęły się na ramieniu powstańca. Krzyk urwał się nagle. Ciało zniknęło w mroku tak szybko, że tylko smuga krwi świadczyła o tym, że coś się stało.

– Nie oglądać się! – krzyknął Kania.

Ale wszyscy i tak spojrzeli w tamtym kierunku. Bo z tyłu nadciągała ciemność. Nie była pusta, coś się w niej poruszało, wypełniało korytarz jak czarna woda. Wtedy ziemia zatrzęsała się z nową siłą. Z tyłu rozległ się potężny huk, bestia wbiła się w korytarz całym cielskiem. Ściany eksplodowały odłamkami skał, belki pękały jak zapalki. Jej oczy zapłonęły w mroku jak dwa piekielne ognie.

Powstańcy biegli na oślep, potykając się o kamienie i porzucone narzędzia. Lampy gasły jedna po drugiej, jakby mrok połykał światło. Za nimi rozlegał się oddech potwora – ciężki, mokry, nienaturalny. Kania sięgnął do torby, wyjął trzy ostatnie granaty.

– Do szybu! – ryknął.

Zatrzymał się na chwilę, drżącymi rękami odbezpieczając ładunki. Rzucił granaty w wąskie gardło sztolni i pobiegł za innymi. Sekundę później świat eksplodował. Huk był tak potężny, że wszystkich ogłuszył. Korytarz zapadł się w chmurze pyłu i kamieni.

Przez długą chwilę nikt się nie ruszał. Potem ktoś wyszeptał:

– Żyjemy...

Wspięli się po zardzewiałej drabinie, dłonie ślizgały się na mokrym metalu. Każdy szczebel skrzypiał jakby miał zaraz pęknąć. Kiedy wreszcie wyszli na powierzchnię, zimna noc właśnie się kończyła. Las oddychał cicho i spokojnie.

Padli na ziemię, łapiąc powietrze. Daleko na horyzoncie jaśniało wschodzące słońce. W blasku, pod powiekami Zyga widział postać Korfantego przywołującego go gestem do siebie. Przez chwilę wydawało się, że wszystko się skończyło.

Ale wtedy Kania zamarł, gdyż usłyszał coś jeszcze, głęboko pod stopami. Stłumiony dźwięk, jakby coś wielkiego... przesunęło się pod ziemią i znowu zaczęło oddychać. Bo to „coś” było starsze niż kopalnia i wciąż tam czekało. Bo wojny ludzi tak naprawdę nigdy się nie kończą...



"Fantastyczne Światy nie znają granic. Otwarte na wiele możliwości, chętnie dały się wciągnąć w pozytywne szaleństwo konkursu „Korfantastic”. Połączenie fantastyki i historii smakuje jak dobra kawa z samego rana, pita w towarzystwie smoków, rycerzy, magów, zombiaków, powstańców śląskich, wielkich robotów, a nawet czołgów.

Przez kartki konkursu przewinęło się już mrowie połączeń – od klasycznej fantastyki przez dieselpunk po horror. Tutaj nie można się nudzić. Zwłaszcza, że segment plastyczny w niczym nie ustępuje literackiemu.

Komos przywodzący na myśl Star Trek i Star Wars, w towarzystwie mrocznych artów, które żywcem uciekły z Dark Souls. Okazuje się, że Wojciech Korfanty potrafi mieć wiele twarzy, odkryjcie z nami niesamowity świat Powstań Śląskich w nowym fantastycznym wydaniu"

Fantastyczne Światy

<https://www.facebook.com/FS.FantastyczneSwiaty/>



Korfantastic ma w sobie smak przygody. Jest to wielki ocean kreatywnych możliwości gdzie fantastyka i historia spotykają się ze sobą, tworząc coś zupełnie nieprzewidywalnego. Lisioł bardzo lubi ten konkurs, dlatego z najwyższą przyjemnością mu patronuje. Każda edycja to nowa uczta historyczna posypana brokatem, z domieszką benzyny i wiedźminskich eliksirów.

Influencer Lisioł Czyta

<https://www.instagram.com/lisiolczyta/>

IV MIEJSCE
RAFAŁ DEMBOWSKI

WĘGLOWY PAKT

Horyzont dusiły kominy, a pod nimi wyrastał gmach. Na parterze grube deski zasłaniały pozostałości witryn sklepowych, na których porozwieszane były plakaty. Przed budynkiem Hotelu Lomnitz stało kilku mundurowych. Dało się czuć zapach tytoniu, potu oraz koni. Na jego pierwszym piętrze, w jednym z pokoi, siedział samotnie mężczyzna. Przed nim, na blacie biurka, spoczywał egzemplarz gazety. Czołówkę „Górnoślązaka” ozdobił wielki napis „ZA TRZY DNI PO ZWYCIĘSTWO”. Pod spodem hasło: „GŁOSUJ ZA POLSKĄ, BÓG Z NAMI!”.

Z zadumy wyrwał go wchodzący przybysz.

– Nadciągają, Panie Komisarzu.

– Ponad trzysta wagonów ze sto osiemdziesięcioma tysiącami głosów z Rzeszy. Jak temu zaradzić? – powiedział zduszonym głosem Korfanty.

– Niedługo przybędą, jak to powstrzymać?

– Gdybym to wiedział... Gdybym to ja wiedział.



Znajdował się głęboko pod ziemią. Wiele razy bywał w kopalni, ale nigdy w samych jej trzewiach. Latarką oświecał sobie drogę. Ruszył wąskim, zawiłym korytarzem. Przeszedł kilkanaście kroków, gdy źródło światła zgasło. Ciemność skoczyła mu do gardła. Szedł jakiś czas na oślep, wciągając w płuca suchy odór siarki. Zatrzymał się, zaniepokojony. Z mroku wyłoniły się dwa ogniki połyskujące czerwonym żarem. Po chwili całe przejście rozjarzyło się, a Korfanty ujrzał przed sobą jakąś postać. Kiedy wzrok przywykł do blasku, zamarł. Wysoka, jakby zlepiąca z segmentów węgla, z której pleców wystawała szata, zdająca się częścią kręgosłupa. Miała długie włosy, przypominające węże, pokryte pyłem węglowym. Dwa połyskujące węgliki okazały się oczyma bestii, a między szczelinami jej powłoki pulsował żywy ogień.

– Czekaliśmy na ciebie, Korfanty.

Mówiąc, nie otwierała ust. Chropowaty dźwięk wydobywał się spod między węglowych płyt, niosąc ze sobą kłęby pary.

– Potrzebuję pomocy – wykrztusił mężczyzna.

– Pomocy? Nie pomagamy, spełniamy życzenia. Czego więc sobie życzysz?

– Wagony ludzi jadą z zachodu. Chcą nam wydrzeć naszą ziemię. Położ temu kres!

– Chcesz, by twój kraj zatriumfował?

– Chcę, by Śląsk przypadł Polsce. – Przetarł pot z czoła, nie spuszczając wzroku z bestii.

– Będzie należał.

Po tych słowach bestia rozłożyła skrzydła, które pomylił wcześniej z szatą. Ogromne, ledwo mieszczące się w ciasnej przestrzeni kopalni, wbiły chmurę duszącego pyłu.

– Pamiętaj jednak. Każda przysługa równa się zapłacie.

– Przyjmę każdą cenę, oby tylko mój dom był wolny. Co mam zrobić?

– Wszystko w swoim czasie, Korfanty.

Postać stała dumnie, patrząc przed siebie, wbiła martwe spojrzenie w mrok za jego plecami.

– Teraz idź już. Chcemy zostać sami.

Mężczyzna odwrócił się i ruszył, czując ulgę. Podpisał pakt z potworem. Nie było innego wyjścia.

– Czekaj!

Usłyszał matowy głos, zamarł z dłonią na ścianie skalnej. Pomyślał o ojcu i o tym, że ta kopalnia może stać się jego grobem.

– Dlaczego to robisz, Korfanty? Nie pojmujemy tego.

– Cóż robię? – spytał, chociaż pod spojrzeniem węglowych oczu krew ścięła mu się w żyłach.

Potwór milczał, aż spomiędzy jego segmentów z sykiem buchnęła para, a dźwięk zaczął tańczyć wśród skalnych ścian.

– Dlaczego ryzykujesz swój żywot, zapuszczając się do nas?

– Bo jestem Polakiem. Chcę żyć u siebie.

– Nie rozumiemy – zachrząściła bestia, a po chwili dodała: – Chleb smakuje tak samo, słońce grzeje tak samo. Po co ten trud?

– Dla dzieci. Dla żony. Dla ludzi. Dla Polski.

Ruszył z powrotem w stronę wyjścia. Gdy był już na zewnątrz, wciągnął głęboko powietrze, czuł jednak ciężkość na sercu. Usłyszał z dołu jakby śmiech tysiąca głosów. A może był to tylko wiatr?



Młody Jędrzej Kobiałka jak co dzień szedł do kopalni. Poranek był bardzo mglisty. Kilkanaście minut temu udało mu się w końcu skraść wdzianki Jolce Dolbaszewskiej.

Jędrzej usłyszał szczekanie psów w oddali i złowieszczy dźwięk rogów myśliwskich. Spojrzał w niebo i mimo sporej mgły ujrzał trupioblade światło oraz wysokich jeźdźców w pancerzach na potężnych czarnych rumakach, które buchały ogniem. Babka opowiadała mu kiedyś o orszaku widmowych

postaci, których zobaczenie zwiastuje wojny, zarazy i inne skurwysynstwa świata. Mimo że nie dostrzegł Ody na ośmionogim Sleipnirze, wiedział, że widzi Dziki Gon. Natychmiast padł na ziemię twarzą w dół.

– Kurwa, a tak pięknie zapowiadał się dzień – pomyślał.



W centrum dowodzenia Polskiego Komisarjatu Plebiscytowego panował wielki harmider.

– Wyniki spływają opieszale – Korfanty wskazał palcem na stos depesz. Z pokoju obok dobiegał metaliczny stukot telegrafu tik-tik, tik-tik, który przywodził na myśl dźwięk karabinu maszynowego.

– Jakiż jest aktualny stan? – spytał jeden z obecnych.

– 60% do 40% dla Niemiec – wybrzmiał smutny głos głównego rachmistrza.

– Jeszcze się karta odwróci. Zwycięzimy – uciał Korfanty.

Do pomieszczenia szybkim krokiem wbiegł mężczyzna.

– Zabrze... – wziął gwałtowny wdech. – 39 400 dla Niemiec. 27 300 za Polską.

W pomieszczeniu dało się usłyszeć jęk zawodu. Tylko komisarz siedział spokojnie. Pod wieczór przyszła taśma z ostatnim miastem. Telegrafista podał ją, a statystycy zaczęli obliczenia. W pokoju zapadła martwa cisza. Wszyscy wstrzymali oddech, przewodniczący siedział jak na rozżarzonej węglu. Główny liczący podszedł do niego i podał mu kartkę. Twarz Korfantego stała się purpurowa, zakrył ją dłońmi, papier upadł na posadzkę, wycelowany liczbą do góry. 707 000 do 479 000 głosów. Przegrana. Czuł ciężar każdej sekundy, której nie wykorzystał, choć wiedział, że dał z siebie wszystko.

– Patrzajcie! – krzyknął jeden z obecnych.

Komisarz spojrział na mówiącego, ten wskazywał palcem na ścianę. Pomiędzy portretami Piłsudskiego i Paderewskiego wisiła wielka mapa Górnego Śląska. Na początku chciał zbesztać podwładnego, jednak po chwili i on to dostrzegł. Niewielki kłąb dymu unosił się nad mapą, a czarna linia zaczęła wypalać się na papierze, zaczynając od południa

i pełzną przed siebie, czasami zmieniając trajektorię, omijając niektóre miasta, niektóre zaś przecinając na pół. Korfanty ruszył w stronę ściany, powoli przyłożył palec wskazujący do końca linii. Natychmiast zabrał rękę z lekkim szarpnięciem, masując oparzone miejsce, na którym wykwił nalot czarnego pyłu. Wyglądał jak węglowa sadza, ale nie osypywał się – trzymał się skóry niczym tatuaż. Z transu wyrwał go łoskot otwieranych drzwi. W progu stanął żołnierz.

– Coś się stało...



Ulice miasta były wyludnione. Na środku drogi, naprzeciw siebie, stali piętnastoletni chłopiec i starsza kobieta. Przed ich nogami ciągnęła się długa czarna jak smoła linia. Młodzieniec uniósł rękę, zawisła ona w powietrzu. Matka powtórzyła ruch syna. Jej palce dzieliły od jego dłoni zaledwie milimetry, ale ta przestrzeń była twarda jak granit. Chcąc czuć ciepło synowskiego dotyku, poczuła tylko szklane zimno przezroczystej bariery oddzielającej dwa światy. Kobieta uśmiechnęła się smutno, łzy spłynęły po jej policzkach, na twarzy chłopca pojawił się błady uśmiech.

Z najwyższego okna Urzędu Celnego całej sytuacji przyglądał się mężczyzna. Patrzył przez jakiś czas, potem wolnym, pełnym ciężaru krokiem ruszył w stronę biurka. Korfanty patrzył na datę leżącego na nim od dnia „Górnoślązaka”: 20 marca 1921. Wydanie złożone dzień wcześniej, które nigdy nie trafiło do rąk gazeciarzy. Na okładce Orzeł Biały, a pod nim: Dziękuję mamó, Polska zwyciężyła.



Zbiory: Polona

MAGAZYN

BIAŁY KRUK

ISSN 2544-6304

NR33 styczeń – luty 2026

OPOWIADANIA

ARTUR LAISEN SĄ DRZWI
PIOTR KARBOWNIK MUSUME
MICHAŁ RADTKE DZIECI TURULA
EWA RYFUN JAKUBOWSKA KOŁYSANKA SAAFA
KATARZYNA KAZEK-BANACH COACHING PODBOJU
ALICJA WESTPHAL-KALINSKA LOTOS I LISIA PANNA
MICHAŁ P. LIPKA 君に会ったとき (KIEDY CIĘ SPOTKAŁEM)

ARTYKUŁ

MAGDALENA STONAWSKA DEWA DEWIE DŻINNEM,
 CZYLI WYCIECZKA PO ŚWIECIE DEWABADU

Magazyn Biały Kruk jest projektem typowo fanowskim. Czasopismo swoją premierę miało 15 września 2017 roku i od tamtego czasu nieprzerwanie co kwartał wychodzi nowy numer. Do tej pory czasopismo opublikowało dwadzieścia siedem numerów plus dwa specjalne, zawierających łącznie 216 opowiadań.

Czasopismo powstało z myślą o stworzeniu platformy do publikacji dla pisarzy oraz miejsca do próbowania swoich sił i rozwoju warsztatu pisarskiego.

Numer 33 „Białego Kruka” – Na Wschód! Fantastyka inspirowana Azją rozszerza tematykę azjatyckich inspiracji, wykraczając poza Japonię i ukazując bogactwo mitów, legend oraz kultur całego kontynentu – od Chin i Indii, przez Mongolię i Syberię, po Azję Mniejszą. We wstępie podkreślono rosnącą popularność fantastyki inspirowanej Azją, przywołując zarówno twórców zagranicznych, jak Cixin Liu, Ken Liu czy Rebecca F. Kuang, jak i polskich autorów sięgających po wschodnie motywy. W numerze znalazło się siedem opowiadań – sześć przenoszących czytelników do różnych zakątków Azji oraz „Kołysanka saafa” autorstwa Ewa Ryfun Jakubowska, nawiązująca do wcześniejszego wydania poświęconego zimowym, frostpunkowym klimatom.

WYRÓŻNIENIE
IWO BULLER

AS BESTII

Drzwi otworzyły się z hukiem. Generał Karl Höfer rażnym krokiem wszedł do pomieszczenia, kikutem prawej ręki pozdrawiając zebranych.

– Koniec polskiej ruchawki. Oto meldunek! – Rzucił na stół zwitek papieru. – Horodam przebił się do zagłębia i wyszedł na tyły bandytów. Kapitulacja to jedynie kwestia czasu.

– Gott sei dank! – odetchnął jeden z oficerów. – Dostaliśmy właśnie ostrzeżenie o ruchach wojsk Ententy.

Höfer prychnął.

– Za późno! – Gruchnął pięścią w stół. – Siedzieli cichutko jak trusie, gdy płonęło Anhalt, teraz posiedzą jeszcze ciupkę czasu, zanim nie dokończymy naszej roboty.

Powiódł spojrzeniem po zacienionym pokoju. Jego wzrok padł na stojącego w kącie, ubranego po cywilnemu człowieka, o przyprószonych siwizną włosach i hardej, grubo ciosanej twarzy.

– A, herr Mädler! – Höfer podszedł do niego. – Da Bóg, a za parę godzin sprezentuję wam tego diabła, Korfantego. Skończy się wreszcie wasza gonitwa, herr Komissar. – Klepnął mężczyznę przyjacielsko po ramieniu.

Komisarz ani drgnął.

– Die blonde Bestie – wycodził Mädler przez zęby, jakby rzucał przekleństwo.

Wszyscy spojrzeli na niego. Jeszcze przed chwilą radosna atmosfera stężała.

– Słusznie nazwaliście go diabłem, herr Generalleutnant – przemówił głośniejszym głosem Mädler. – Osaczałem go, śledziłem, ścigałem... Bez skutku. A przecież wszystko było wtedy nasze! Policja, sądy, gazety, partie! Ba, nawet kardynał Kopp był po naszej stronie. I nic! Ten węgorz zawsze się wyślizgnął. Zawsze był górą! – Podniósł oczy na Höfera. – I wy teraz liczycie na to, że go schwytacie? Teraz, gdy nie ma już Kaisera, a Rzesza leży w gruzach? Nie, herr General. On coś wymyśli. Zawsze ma jakiegoś asa w rękawie.

Przez moment panowała cisza. Höfer zdumiony wpatrywał się w komisarza. Nagle jednak wybuchnął śmiechem.

– Herr Komissar! – zawołał wesóło. – Wiem, że tak znakomitemu

śledczemu trudno uwierzyć, by ktoś zwyciężył tam, gdzie on poniósł klęskę. Ale dajcie szansę młodszym od siebie! Co jeszcze może tu zdziałać Korfanty? Chyba tylko jakaś pozaziemska siła mogłaby go uratować. – Zarechotał.



Major Ernst Horodam próbował gonić za natarciem, klnąc na czym świat stoi. Noga bolała jak diabli. Po prawdzie jednak nie miał prawa narzekać. On wyszedł cało, jedynie ze zwykłym stłuczeniem, podczas gdy wielu jego chłopców skończyło z kulą w czaszce albo bagnietem między żebrami. Za sobą, prócz powiewającego na szczycie Annabergu sztandaru Cesarstwa, zostawił co najmniej kilka setek dobrych żołnierzy, wpatrujących się szklistymi oczyma w okrutne niebo.

Odetchnął. Musiał przyznać, choć czynił to z niechęcią, że polscy bandyci, ci jeszcze do niedawna powszechnie wyśmiewani Wasserpolen, okazali się twardymi sztukami. W każdym razie, twardszymi niż bawarscy czerwoni, których ruchawkę Freikorps Oberland stłumił przed przerzuceniem na Śląsk. Gdyby mieli lepszych dowódców... Gott sei dank, że ten piekielnik Korfanty nie był wojskowym, a kierujący oddziałami rebeliantów Mielżyński dawał aż na zbyt dobry przykład, co znaczy Polnische Wirtschaft.

Wraz z przełamaniem frontu pod Annabergiem i nad Olszą załamało się również morale buntowników. Nieliczne bandy próbowały powstrzymać klin, który niczym bezlitosne ostrze wbijał się w pozycje wroga, ale Polakom brakowało już broni i amunicji. Zwycięstwo było wyłącznie kwestią czasu.

Horodam uśmiechnął się pod wąsem. Nareszcie po tylu klęskach i upokorzeniach, jakich doznała Germania, nareszcie to oni nacierali, to oni deptali nieprzyjaciółom po piętach. Weterani przegranej Wielkiej Wojny nie śpiewali już z rozpaczą wir sind Verloren – jesteśmy zgubieni. Przeciwnie, wokół, do wtóru

trzaskania karabinów i huku dział, rozbrzmiewało na całe gardło, radosne i śmiałe: Freikorps voran!

Śpiew przerwał rozdzierający krzyk przerażenia. Major przystanął. Niczym spod ziemi wyrósł przed nim zdyszany żołnierz. Machinalnie zasalutował, czyniąc to jednak bardziej jak bezwolna kukła, niż żywy człowiek. Zaniepokojony Horodam zmierzył go spojrzeniem. Po plecach przebiegł mu dreszcz. Żołnierz cały dygotał z przerażenia, a w jego oczach widać było opary obłędu.

– Co się stało?! – Porwany nagłym impulsem major potrząsnął podkomendnym. – Mówże, człowieku! Odgryzłeś sobie język, czy co?

Żołnierz szczął zębami, na próżno próbując wydusić z siebie jakikolwiek artykułowany dźwięk. Horodam puścił go.

– Do mnie! – ryknął. – Zwiadowcy na pierwszą linię! Przegrupować się!

Na linii horyzontu ujrzął czarną plamę. Stawała się coraz większa, aż wreszcie major pojął, że zbliża się ku niemu sunąca po niebie niczym sterowiec, ogromna chmura dymu. Zaklął. Zjawisko wyglądało jak wyziewy dobywające się z komina latającej fabryki. Nigdy w życiu nie spotkał się z czymś podobnym. Czyżby Polacy w podziemiach kopalń zmajstrowali jakąś nieznana dotąd Wunderwaffe?

Czarny jak smoła kłęb dymu zbliżał się. Horodam zastygł osłupiały. Z chmury wysunęło się... coś. Spłaszczony, latający dysk wielkości lokomotywy, niczym maszyna z powieści Verne'a czy Wellsa, którymi major umiłał sobie przez ostatnie lata długie dni spędzane w okopach. Donnerwetter, coż to mogło być?

Dysk zawisł nad majorem, przysłaniając słońce. Dalej czekała tylko ciemność...



W centrum odbitego Kędzierzyna zgromadziły się setki powstańców, przyglądając się niezwyklej scenie. Pośrodku stały naprzeciw siebie dwie postacie.

Z jednej strony postawny mąż, w którym każdy rozpoznawał dyktatora Górnego Śląska. Nosił wiele imion. Niemcy ochrzcili go blond-włosą bestią, wewnątrzni wrogowie przezywali pogardliwie Buffalo Billem. Śląski lud mówił o nim potulale jako o „naszym Wojtku”. Lata nieprzespanych nocy w walce z teutońskim oprawcą, znoszenia obmów złośliwych i oszczerców, a także użerania się z niesfornymi sojusznikami, ozdobiły jego twarz zmarszczkami i przyprószyły szarą szarą niegdyś jasne włosy. Lecz każdy dostrzegał, że w tym przytłoczonym narodowymi niedolami ciele goreje wciąż płomień niezłomnego ducha.

Wydawało się, że widział w życiu już wszystko. Brał udział i w ulicznych burdach, i w obradach Reichstagu. Znał smak wyborczego bankructwa, ale też wiedział, co znaczy być niesionym przez oszalały tłum, żądający mianowania swego wybrańca premierem. Żadne jednak z tych doświadczeń nie przygotowało go na tę chwilę.

Przed nim stała istota humanoidealnej budowy, ale przy tym zgoła do człowieka niepodobna. Nicienio-wate kończyny i chudy tułów przywodziły na myśl olbrzymie babie lato. W tej chwili stworzenie przemawiało właśnie mechanicznym głosem, przez maskę, tłumaczącą na bieżąco słowa na język ludzki, język polski.

– Próźniowi Nomadzi dziękuję ci, ludzki wodzu. Dzięki waszemu paluwu zdołamy ruszyć w dalszą podróż.

– To my dziękujemy, przyjacielu! – odparł Korfanty. – Katastrofa waszego pojazdu okazała się dla nas szczęśliwą katastrofą.

– Nie dziękujcie. Przegonienie tych najeźdźców było minimum, jakim mogliśmy się wam odwdziżyć. Życzymy wam pokoju i dobrobytu!

– A my życzymy wam szczęśliwej podróży! Węgiel, dar śląskiej ziemi, niezawodnie zabierze was prosto do waszego celu.

Jakiś czas później tłum zegnał głośnymi owacjami wzbijający się w powietrze dysk. Wzruszony dyktator powstania powiewał białą chusteczką. Ani na myśl mu nie przyszło, że za kilka lat sanacyjna prasa oskarży go, iż przez wypuszczenie okrętu bojowego kosmitów, zamiast skierowania go na nową wojnę z bolszewikami, dopuścił się zdrady narodu.

ERASMUS+

2026

SPACERY

**WARSTWY MIEJSKIE KATOWIC:
BUDYNKI, MURALE I OPOWIEŚCI
Z BARBARĄ KOWACZEK – JĘDRASIK**

**INSTYTUT
IM. WOJCIECHA
KORFANTEGO
TEATRALNA 4**

**07.07. | 10:00
21.07. | 16:00
25.08. | 17:00**

KATOWICE

INSTYTUT EDUKACJI



**WSTĘP WOLNY.
START – PARKLET PRZED WEJŚCIEM DO INSTYTUTU.
SPACERY ODBYWAJĄ SIĘ W JĘZYKU ANGIELSKIM.**



Województwo
Śląskie



**INSTYTUT
IM. WOJCIECHA
KORFANTEGO**

Regionalny Instytut Kultury
im. Wojciecha KorfanteGO jest
instytucją kultury Samorządu
Województwa Śląskiego.



**Polskie
Radio
Katowice**



Dofinansowane przez
Unię Europejską

ERASMUS+

2026

KRYMINALNE KATOWICE Z GRZEGORZEM WIELGUSEM

SPACERY:

17.07. | 16:00

08.08. | 12:00

14.08. | 14:00

INSTYTUT
IM. WOJCIECHA
KORFANTEGO
TEATRALNA 4

KATOWICE

INSTYTUT EDUKACJI



WSTĘP WOLNY.

START – PARKLET PRZED WEJŚCIEM DO INSTYTUTU.

14.08. SPACER ODBĘDZIE SIĘ W JĘZYKU ANGIELSKIM.



Województwo
Śląskie



INSTYTUT
IM. WOJCIECHA
KORFANTEGO

Regionalny Instytut Kultury
im. Wojciecha Korfa jest
instytucją kultury Samorządu
Województwa Śląskiego.



Polskie
Radio
Katowice



Dofinansowane przez
Unię Europejską

WYRÓŻNIENIE
MATEUSZ JAROŃ

GŁOS KRWI

Wojciech Korfanty nigdy nie lubił magii. Uważał ją za skrajnie niepraktyczną, podatną na wpływy polityczne i, co najgorsze, nadzwyczaj często finansowaną przez berlińską masonerię. Jednak gdy na jego biurku w Hotelu Lomnitz wylądował kawałek skorodowanej blachy z wybitą wroną, której zamiast skrzydeł wyrastały z ciała typowe dla bezkręgowców macki, wiedział, że Plebiscyt nie skończy się na zwykłym wrzuceniu kartek do urn.

– Panie Dyktatorze, choć na pierwszy rzut oka wygląda to na zwykły złom, proszę mi zaufać, że mamy tu do czynienia z mocami nadprzyrodzonymi – mruknął siedzący naprzeciwko Korfantego mężczyzna.

Nazywał się Maurycy Szpon i był specjalistą od spraw, o których nie pisały żadne gazety ani nie nadawały żadne stacje radiowe. Pachniał tabaką i smarem do pistoletu Vis, choć Visów oficjalnie nie zaczęto jeszcze wtedy produkować.

– Niemcy nie grają czysto – kontynuował Szpon, dłubiąc szczyrakiem w zębach. – Mamy wiarygodne doniesienia, że w podziemiach pod Bytomiem ichni okultyści z Towarzystwa Thule rozstawili rezonatory. Chcą wpłynąć na wynik głosowania, to oczywiste. Tym razem zrezygnowali ze standardowych metod, z przekupstwa, z propagandy. Podejrzewamy, że posuną się do starej, dobrej indukcji nienawiści, ciężkich emocji i niskich pobudek. Każdy, kto wejdzie do lokalu wyborczego, ma poczuć nagły, nieodparty wstręt do wszystkiego, co choć odrobinę pachnie polskością.

Korfanty westchnął ciężko. Przełarł okulary.

– Panie Maurycy, mamy dwudziesty wiek. Mamy telegrafy, samoloty i rodzącą się demokrację. Czy naprawdę sugeruje pan, że wynik Plebiscytu zależy od jakichś germańskich guseł?

Szpon wyciągnął z kieszeni srebrną monetę i położył ją na stole. Moneta sama z siebie zaczęła wirować, wydając dźwięk przypominający wycie bitego psa.

– Sugeruję, że jeśli nie wyślemy kogoś do Donnersmarcka, by rozbił te zabawki, to istnieje uzasadniona obawa, że jutro rano obudzimy się w rzeczywistości, w której Śląsk od zawsze był częścią Prus Wschodnich, a my stanowimy tylko zbiorową halucynację.

Korfanty przygryzł wargę. Długo dumał nad odpowiedzią, aż w końcu powiedział tylko:

– Sami się tym zajmujemy.

Noc przed Plebiscytem była duszna. Szpon wraz z dwoma zaufanymi powstańcami – grubym jak beczka piwa Karolem i chudym, acz nadludzko zwinnym „Szczurem” – schodzili do nieczynnego szybu kopalni pod Gliwami.

– Pamiętajcie – szepnął Karol, poprawiając na ramieniu karabin Mauser. – Jak zobaczycie coś, co mo wiyncy niż dwa oka i godo po łacinie czy innemu obcemu, strzyłoć w kolana. Nawet demony i duchy nie lubią mieć potrzaskanych rzepek.

W dolnych partiach kopalni rzeczywistość zaczęła się rwać, naginać, transformować. Ściany z węgla nie były już czarne, pulsowały osobliwym sinym światłem. Korytarze to powiększały się, to znów kurczyły niby gigantyczne gąbki. Szli z duszami na ramionach i ściśniętymi gardłami. W pewnym momencie natknęli się na niemiecki patrol. Wartownicy nie przypominali zwykłych żołnierzy Grenzschtzu. Nosili skórzane maski gazowe z dziwnymi filtrami i dzierżyli kostury owinięte miedzianym drutem.

– Halt! – wrzasnął jeden z nich, unosząc broń, ale Szczur był szybszy. Rzucił w stronę Niemców granatem, ten zaś zamiast wybuchnąć ogniem i żarem, rozpylił chmurę święconej kredy zmieszanej z opiłkami srebra.

Pruscy okultyści zaczęli kichać, zanosić się rzęsistym kaszlem, łzawić i charczeć. Ich maski pękały od implozji.

– Starodawne metody są najlepsze – mruknął Szpon, dobijając jednego z przeciwników kolbą. – Prostota i skuteczność.

W samym sercu sztolni stało Urządzenie. Wyglądało jak skrzyżowanie organów kościelnych z silnikiem Diesla. Na mosiężnych tabliczkach widniały napisy: Stimme des Blutes. Głos Krwi. Maszyna huczała, wytwarzając niskie vibracje, od których drżały zęby w dziąsłach.

– To stąd idzie sygnał – Szpon spojrzał na zegarek. – Za cztery godziny otwierają lokale. Jeśli tego nie wyłączymy, ludzie będą głosować na kajzera, nawet jeśli w głębi serca szczerze go nienawidzą.

Karol spróbował uderzyć w maszynę kilofem, ale stalowe ostrze odbiło się jak od gumy. Maszynę chroniło pole siłowe zasilane strachem całych pokoleń górników, traumami całej historii Śląska.

– Trzeba czegoś silniejszego – powiedział Szpon. Wyciągnął zza pazuchy małą, zakurzoną butelkę. – Oryginalna miodunka od pewnego egzorcyisty z Polesia. I do tego... – wyciągnął drugą butelkę – ...prawdziwy, śląski żur na zakwasie z 1848 roku.

Wylał obie substancje na główny transformator. Nastąpiła reakcja chemiczno-alchemiczna, której opisu nie powstydzilby się żaden podręcznik paranormalny. Miodunka zneutralizowała germańską magię, a żur – swista esencja śląskości – przeżarł mosiężne osłony jak kwas solny. Maszyna krztusiła się, wyla, wydając dźwięki podobne do pękających strun i w końcu... zgasła.

Rankiem 20 marca 1921 roku, Słońce weszło nad Katowicami wyjątkowo jasne. Ludzie szli do urn z uśmiechami, czując nagłą lekkość na duchu, jakby ktoś zdjął im z piersi ogromny głaz.

Korfanty stał w oknie hotelu. Wiedział, że walka dyplomatyczna dopiero się zaczyna, ale i on odczuwał, że „duchowa pogoda” się poprawiła. Szpon znajdował się tuż obok, czyszcząc paznokcie szczyrakiem.

– I jak będzie, panie Maurycy? Wygramy?

– W liczbach może być różnie, panie Wojciechu. Prusacy naciągnęli „emigrantów”, będą oszukiwać. Ale jedno jest pewne – Szpon wykrzywił usta w grymasie – ta ziemia już ich nie chce. Widziałem to tam na dole. Węgiel zaczął mówić po naszymu.

Korfanty uśmiechnął się pod wąsem.

– A ta maszyna? Co się z nią stało?

– Przerobiliśmy ją na bimbrownię. Daje urobek o mocy siedemdziesięciu procent, z lekką nutą metafizyki. Chce pan spróbować?

Dyktator odmówił, ale tylko dlatego, że musiał być trzeźwy, by ogłosić Trzecie Powstanie, gdyby alianci spróbowali ich oszukać. Wiedział jednak, że ze wsparciem takich ludzi jak Szpon, nawet demony z Berlina nie dadzą rady śląskiemu uporowi.

REKLAMA

Śmierć zagraża

Górnoślazakom.

gdyby pozostać mieli

przy Niemcach!!!



**Od głodu, moru, wojny
i przyłączenia do Niemiec
zachowaj nas Panie!**

Pocztówka, 1921. Zbiory: Polona

DNI FANTASTYKI

21-23
SIERPNIA
2026

OPT ZAMEK
PL. ŚWIĘTOJAŃSKI 1
WROCŁAW



Ośrodek Postaw Twórczych
ZAMEK

Wrocław
miasto spotkań
Dofinansowano ze środków
Gminy Wrocław

GILDIA
ORGANIZATORÓW

MBP
MIEJSKA
BIBLIOTEKA
PUBLICZNA
im. Tadeusza Kościuszki
we Wrocławiu

DNIFANTASTYKI.PL